

RECENZJE

Anna Rau

Zadziorna, ruda książka

Okładkowe zdjęcie autora jakiegokolwiek pozycji wydawniczej bardzo wiele podpowiada o samej polecanej książce, wszak taki wizerunek to ewidentna ikona promocyjna produktu. Toteż, z licznych okładek, do jednej (specyficznej) grupy odbiorców łagodnie uśmiecha się guru o posiwiałych skroniach, komu innemu swój przekaz wysłała zadbana kobieta, malowniczo siedząca na ganku z kotem na kolanach, innych zaś przywabia chmurnooki, młody (lub co gorsza nie-młody) pozer z papierosem przyklejonym do kącika ust... Dziewczyna ze zdjęcia na okładce książki „Freud by płakał” wygląda kolorowo i zaczepnie - ma rude włosy, przykrótki, różowy T-shirt, mini i kabaretki. To świadoma prowokacja, którą próbuje skłaniać odbiorcę do deklaracji i reakcji. Ta młoda kobieta wie, kim jest, a dodatkowo specjalnie maskuje to artystyczną kreacją, wyczekując niespodzianek... I to działa! - wzięłam książkę do ręki i od razu zdeklarowałam się oraz zareagowałam, uzyskując już na wstępie, niestety, skojarzenie z Dorotą Masłowską (której nie kuszę się oceniać. Mogę jedynie stwierdzić, iż mi z jej prozą nie po drodze...). Całe szczęście, że po lekturze powieści Ireny Karpys rozczarowałam się bardzo pozytywnie - to solidna, młoda duchem a dojrzała formą proza. Autorka załotnie zerka zza maski Marli Friksen, głównej bohaterki, a zarazem narratorki, swojego dziennika podróży - gdyż „Freud by płakał” to klasyczny przedstawiciel tego starego gatunku literackiego ze szczyptą metafizyki i psychologii kobiecej duszy na okrasę.

Łzy Freuda... Dlaczego? Czy połałaś swe naukowe żęby na szybkiej i inteligentnej Marli? Zatem, czy ta młoda Ukrainka to przypadek beznadziejny? A może tylko jej wnętrze jest trudne do zdefiniowania? Kimże jestem w stosunku do starego psychoanalityka - ale dzięki powieści, czyli studium przypadku, mogę Marłę określić jako

niewątpliwym przykładem Syndromu Holly Golightly (dokładny opis - „Śniadanie u Tiffany'ego” Trumana Capote'a). Oczywiście, odzegnuję się w tym momencie od okrutnie zamerykanizowanej adaptacji filmowej (mimo niezaprzecznego wdzięku), lecz nawiązuję wyłącznie do oryginału literackiego, z zagadkowym a klimatycznym - jak się należy - zakończeniem, czyli totalną uciezką Holly. Czy Marla wie, że jej ikoną i pierwowzorem jest sliczna i tajemnicza, luksusowa... (hmmm... dziś nazwalibyśmy ją chyba hostessą)?... Mniejsza o to, grunt, iż „falszywa” panna Go-



lightly żyła dzięki pięknemu wyglądowi, miłemu stylowi bycia i hojności swoich kolejnych towarzyszy. Podobną filozofię życia z upodobaniem uprawia Marla Friksen. Tak więc, może stary naukowiec Freud lituje się nad swoją niedoszlą pacjentką? Ona jednakże twierdzi, że jest szczęśliwa. Trochę oszukuje. Dlaczego zmienia mężczyzn jak ubranie - stosownie do strefy klimatycznej? Ilia na rodzime mrozy, Hjalmar na upały, Andrzej na klimat umiarkowany... Każdym z nich cieszy się jak dziecko - o wszystko ich pyta, od nich się uczy, daje się całować i kochać. Paradoksalnie

DOKOŃCZENIE - STR. 2

RECENZJE

Anna Dobiegała

Żeby nie zdechnąć z nudów

Dariusz Muszer, poeta i prozaik, wydał w tym roku w szczecińskiej Formie Autorskiej powieść „Niebieski” - pierwszą powieść w języku polskim opublikowaną w całości na naszym rynku wydawniczym. Na krajowej scenie pisarz znany jest z kilku tomów wierszy, między innymi „Zatrzymane wersy” z 1987 roku czy „Wszyscy moi nieznajomi” i „Jestem chłop” z roku 2004, oraz publikacji na łamach sopockiego „Toposu”, gdzie ukazują się jego eseje, tłumaczenia i recenzje. Autor „Niebieskiego” współpracuje również z innymi literackimi periodykami w kraju oraz Radiem Zachód, które regularnie prezentuje na antenie jego wiersze oraz powieści w odcinkach.

Dariusz Muszer, z wykształcenia prawnik, od 1988 roku mieszka na stałe w Niemczech, gdzie jest członkiem Związku Pisarzy Niemieckich i laureatem jednej z ważniejszych niemieckich nagród literackich Nagrody Związku Pisarzy Niemieckich za najlepszy tom prozy w Dolnej Saksonii i Bremie za pierwszą niemieckojęzyczną powieść „Die Freiheit riecht nach Vanille”. „Wolność pachnie wanilią” ukazała się w 1999 roku w monachijskim wydawnictwie A1 Verlag. Kolejna niemieckojęzyczna książka „Der Echsenmann”, czyli „Człekojaszczur” została wydana dwa lata później przez to samo wydawnictwo. Pisarz przyznaje, że polski jest językiem poezji, natomiast niemiecki bezsprzecznie językiem prozy, dlatego powieści pisze po niemiecku, wiersze zaś po polsku. Należy również dodać, że Dariusz Muszer jest pierwszym w dziejach polskojęzycznym autorem, którego Niemcy wysłały w charakterze ambasadora kultury na Północ.

Niebieski, tytułowy bohater powieści, przybywa na Ziemię w „przeddzień dnia, po którym następuje noc nocy”, czyli w przeddzień pierwszego dnia lata, „z całkiem innego, odległego o setki tysięcy mil świata” niebieskim samolotem pilotowanym przez dwóch aniołów. Ląduje na naszej planecie „o godzi-

nie czwartej czterdzieści cztery. A może pięć, dziesięć minut później” na pożyczonym od anioła niebieskim spadochronie, który potem notabene zjada. Centrala przysłała go na Ziemię po dwóch tysiącach lat od ostatniego pobytu, aby zakończył trwającą tu od lat wojnę z wrogiem, a że pojawia się w czasach, kiedy „nikt w cuda bez cudu nie uwierzy”, na potwierdzenie swej cudowności ma żółtą tekturą teczkę ze stosownymi papierami. Jest to kolejne wcielenie Niebieskiego, który zajmuje się wyzwalaniem i niczym Agent 007 James Bond dostaje od przełożonych do rozwiązania spraw nierozwiązalnych.

Po wylądowaniu niebiański wysłannik trafia do drewnianej chaty starej kobiety, a ta lokuje go w ubogiej stajence z bydełkiem i nie ma już wątpliwości, kim przed dwoma tysiącami lat był ten przybysz kosmicznego pochodzenia. Tym bardziej, że przybywają do niego z darami trzej królowie, wprawdzie nie ze Wschodu i nie ze złotem, kadzidłem i mirrą, ale z trzech różnych wiosek i z blaszonym kubkiem, ulepioną z gliny lalczką i wiązanką polnych kwiatów zawiniętą w celafon. W poprzednim wcieleniu Niebieski był Jezusem Chrystusem. Miał długie, proste włosy i brodę - „odwieczny krzyk mody wśród zbawców”, był pasterzem i umarł na krzyżu za grzechy ludzkości. Teraz jest ogolony, ostrzyżony, ma skórę niebieskiego koloru, jest prostym chłopem i przychodzi mu beknąć nie na krzyżu, ale na drabinie z szesnastoma szczeblami. Ale zanim zostaje udrabinowany, przeżywa liczne przygody, z zabiciem siedmiogłowego smoka włącznie.

W notce wydawniczej czytamy, że „<Niebieski> to współczesny apokryf, legenda o próbie uratowania ludzkości, opowiedziana tym razem z punktu widzenia samego wysłannika niebios”. Apokryfy były sprzeczne z zawartością tekstów kanonicznych i niekiedy miały nawet charakter heretycki. Sprzeczne z Biblią są także elementy świata przedstawionego powieści Mu-

Zadziorna, ruda książka

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

pozostaje przy tym przewrotnie niezależna i w końcu - zawsze - ucieka. Dlaczego, jak sama deklaruje, NIE MOŻE z nikim być na dłużej? Recytuje tylko swoją mantrę-obiecankę: „Po co nam to wszystko? Jutro obudzimy się jako INNA istota. (...) Jedyna, Lepsza, Doskonalsza, Pełniejsza, Androgyniczna”. Jej cele życiowe - czy jest ich do końca świadoma? - wahają się między dwoma biegunami: z jednej strony, zbieraniem doznań, mężczyzn - partnerów podróży - i inspiracją zawodowców - twórczych (Marla jest piosenkarką, modelką, dziennikarką, pisarką i fotografką), a z drugiej, ucieczką od zapyziałej ojczyzny i owych (znalezionych) mężczyzn. Jakże jest ziemienna i ulotna w swych nastrojach, jak szybko przemierza ulice i zmienia hotele kolejnych miast, a zarazem trwa w ciągnącym się, leniwym beczcasie - jednakowo namiętna i zimna. Serwuje czytelnikom, podglądaczom jej notatek, migawki kolejnych miast i przystanków w podróży, z Kijowa, Dżakarty, Paryża, Bangkoku, Katmandu, Pragi. Z nich dowiadujemy się również, iż dla młodej podróżniczki, tak jak owo rejestrowanie egzotyki, równie wielkie znaczenie ma obserwacja swojej kobiecości - bynajmniej nie w znaczeniu fizjologicznym. Chodzi jej o sugestywne opisanie doznań zmysłowych, czyli smaków, sennych majaków, zapachów i dotknięć, marzeń, nastrojów, bólów i wrażeń. Smak z Tajlandii: „Siedzę i myślę: <No i po co jadłam tego psa?>”. Bóle z Indii: „Koniec z gettami - paryskimi czy kijowskimi”. Jej soczysty język, żywa istota z Ukrainy, którą się lubuje i czeluje: „[widzę] chude kury jak rowery (tak mówią na Ukrainie)”. A propos Ukrainy - można się domyślić, dlaczego ta książka jest tak zadziorna - gdyż niełatwo być obywatelką nowej Ukrainy, nawet młodą, ładną, z kolejnym opiekuńczym facetem przy rączce walizki. W ogóle nie jest łatwo pochodzić z któregośkolwiek z państw postsowieckich i zmieścić się, dostosować, pogodzić ze zdżerzeniem przeszłości, oczekiwań i rozczarowującego „teraz”. I jeszcze ta dodatkowa potęga rozbijającego wnętrza rozdarcia między przywiązaniem do „swojego miejsca”, a rejestracją szeroko otwartymi oczami, że mogłoby być inaczej... że gdzie indziej... że... No, po prostu - że „Ukraina to placki ziemniaczane

a nie homary!” Ostatecznie, ten niby-lecz-prawdziwy dziennik podróży, tak naprawdę okazuje się wewnętrznym linkiem Marli, alter ego (nie da się tego uniknąć) Ireny Karpy, do tematów ukraińskich.

Opowieść płaczącego Freuda jest jak wizerunek Karpy z okładki - ruda i zadzierzasta, taka bialo-czerwono-różowa historia w kabaretkach. Panna Marla Friksen w Podróży tworzy ciekawą mieszanekę, łącząc w sobie nieopanowany pęd bohaterki Capote'a ze swoistym, współcześnie lansowanym modelem kobiecości: androgynicznym i swojsko nie-luksusowym. Choć jest seks - nie ma sex appealu. Jest miłość - nie ma happy endu. Nie ślicznotka, a pociągająca zdrowiem i kondycją pensjonarka z międzywojnia, ulubienica starego Freuda. Książka o niej to kumpel w podróży życia. Podkreślam: kumpel - a nie duchowy przewodnik. Coelho ze swoimi wydumanymi, rozplakany i pełnymi quasi duchowości przemysleniami powinien się pokornie zapisać na warsztaty pisarskie Ireny Karpy. Może u niej pilnie praktykować również na zajęciach z języka - gdyż styl i słownictwo Karpy (ukłon w stronę tłumacza) są odświeżająco żywe, nowoczesne, a do tego zabawne (niech jako przykład posłużą jedno z olśniewających porównań - „poruszał puchatą jasnowłosą głową jak Buka z Muminków”). I jeszcze jedno - ogromny i wariacki plus dla dziennika podróży Ireny Karpy: dzięki niej, nawet w chwili ostatecznego załamania nad marną jakością życia, albo też brakiem właściwego stosunku swych pragnień do możliwości, czy wreszcie podczas jakiegoś nagłego poczucia własnej zaściankowości, mam zdanie-pocieszankę na wieczne czasy... Tak naprawdę, nie ma czego żałować. „W PARYŻU BUTIKI SĄ JAKIEŚ NUDNE”...

Anna Rau

Irena Karpa,
Freud by płakał,
przeł. Michał Petryk,
Wyd. Czarne, Wołowiec 2006.

Żeby nie zdechnąć z nudów

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

szera. Matką Niebieskiego nie jest wcale Maria, ale wiedźma, Baba-Jaga z kurzej chaty latająca na miotle. Zbawiciela zamiast trąb anielskich witają gazy jednego z króli, Baltiego. W „Niebieskim” bowiem królowie nie nazywają się Kacper, Melchior i Baltazar, ale mają swojsko brzmiące imiona Kacpi, Melchi i Balti. Nie są mędrkami ze Wschodu, a „zwykłymi chłopami, którzy gdzieś pod płótem znaleźli kawałek tektury i złotko po czekoladzie i zrobili sobie korony”. Mannę z nieba zastępuje chleb i kwaśne mleko, znak krzyża znak drabiny, zaś obmycie nóg Zbawiciela lizanie.

Niczego u Muszera z tradycji biblijnej nie zabrakło. Pojawia się nawet półnaga wszetecznicza i niewierni, choć tym razem Jazdia i Zdzisiu, a nie Tomasz jak przed dwoma tysiącami lat, ale wszystko pojawia się tu nie na swoim miejscu, każdy symbol jest tu zdeformowany. Ubrany w kombinezon nieśmiertelności i pomalowany najnowszym cudem techniki, Niebieski bardziej przypomina Marsjanina niż boskiego dziedzica, mającego przynieść ludziom wyzwolenie. Świętą relikwią jest w powieści spadochron, a na miejscu osła pojawia się biała koza, która przeciw w tradycji europejskiej związana jest z ideą grzechu i z legendami o diablach. W wątki biblijne pisarz wplata mity i baśnie ludowego pochodzenia, jak legendę o kwiecie paproci czy o bliźniakach Waligórze i Wyrwidębie, nazywanych przez Niebieskiego Waligórzysko

i Wyrwidębczak i razem z nim udrabinowanych. Pojawia się też wątek z Wesela Wyspiańskiego. Stąd język stylizowany jest zarówno na biblijny, jak i na ludowy. Jak trafnie zauważa czarownica, „Wszystko na tym świecie jest zaczarowane”.

Dariusz Muszer w jednym w wywiadów powiedział, że „Z poszukiwaniem tropów jest z reguły tak, jak ze zbieraniem grzybów. Im bardziej znamy las jako taki, tym więcej znajdziemy”. Kto lubi zbierać grzyby i choć trochę zna las, ten powinien sięgnąć po „Niebieskiego”. Tam pod każdym drzewem aż roi się od grzybów, bo pisarz pełnymi garściami czerpie z, jak sam to mówi, „ciągle tego samego, kosmicznego źródła, dostępnego dla wszystkich”. Cała zabawa polega na tym, aby znaleźć jak najwięcej grzybów, a im więcej ich znajdziemy, tym będziemy mieli większą przyjemność z lektury tej przewrotnej, zabawnej, a miejscami nawet obrazoburczej książki. Dariusz Muszer pisze, aby nie zdechnąć z nudów we współczesnym świecie. „Niebieski” to książka dla tych, którzy podobnie jak jej autor nie chcą zanudzić się na śmierć w dzisiejszych niepoetyckich czasach, kiedy „przodują kultury błędnych twarzy”.

Anna Dobiegała

Dariusz Muszer,
Niebieski, Wyd.
Forma Autorska, Szczecin 2006.

RECENZJE

Miłosz Babecki

Dramat i teatr w roli społecznego komunikatora

Analizująca strukturę, tematykę, poetykę ekspresji współczesnego dramatu Dobrochna Ratajczakowa wskazuje na podobieństwo tekstu dramatycznego, widowiska teatralnego do oferowanych przez operatorów sieci kablowych programów typu „Real TV”. Dzieje się tak za sprawą mimetyczności medialnej, ponieważ teatr nie odnosi się do rzeczywistości, lecz jej wykreowanej, sztucznego wizerunku. Ma być podobnie jak realistyczna telewizja dramatem

prawdy, prawda to jednak specyficzna, obrazująca zniszczone związki interpersonalne, tragiczne losy zdradzonych partnerów osadzone w scenerii znanej dobre z licznych reality shows.

Real drama czy docu drama pomijając kwestie tematyki, wnoszą do dyskusji o tekście dramatycznym i jego inscenizacjach nowe wątki otwierając nieznane dotąd pola interpretacyjne. Przenikające się światy: telewizyjny i teatralny wskazują na kon-

tekst społeczny, umożliwiającą sytuowanie dramaturgii pośród rozważań, jakie na temat rzeczywistego świata prowadzi społeczeństwo w danym momencie dziejowym. Tym samym telewizja otwiera przed sztuką teatralną nową przestrzeń, będącą środowiskiem komunikacyjnym i jednocześnie instrumentem komunikowania. Telewizja jest jednak wynalazkiem XX stulecia. Uprzednio rolę okna na świat, narzędzia kształtowania postaw, zachowań i mód, trybuny formułowania i wygłaszania poglądów pełnił teatr.

Teatrowi i towarzyszącemu mu różnorodnym kontekstom poświęcona jest wydana w 1999 roku publikacja „W przestrzeni komunikacyjnej. Szkice z historii i teorii dramatu, teatru i komunikacji społecznej”. O wiele trafniejsze, w dyskusji dotyczącej miejsca jakie winien zajmować w kulturze teatr, będzie odwołanie do tytułu książki Barbary Kity, która nieznanym dotąd zjawisk z kultury mediów dopatruje się „Miedzy przestrzeniami”.

Trans przestrzenne skojarzenie wywołuje przyjęta przez autorów optyka rzutu na problematykę „Szkiców”. Czytelnik bowiem styka się najpierw z blokiem tekstów skupionych w rozdziale „Misterium i misteryjność”, po lekturze których koncentrować się może na szkicach zebranych w panelu „Teatr i dramatu”, by wreszcie zagłębić się w problematyce komunikacji społecznej wpisanej w tekst dramatyczny. Choć w przedmowie redaktor tomu Janusz Skuczyński wyjaśnia, według jakich kryteriów dokonano selekcji tekstów, budujących przestrzeń komunikacyjną analizowanych zjawisk, przyznam, iż zamiar to niejasny. O ile stosunkowo łatwo znaleźć uzasadnienie dla wyznaczających granice kręgów tematycznych, o tyle wątpliwości budzi odmienność prac pomieszczonych w poszczególnych działach.

Czytelnie jest dążenie do chronologicznego porządkowania dyskutowanych zagadnień, stąd właściwym wydaje się podążanie od średniowiecznej misteryjności teatru przez anektowanie rzeczywistości dwudziestowiecznej z jej powojennym okresem emigracyjnym (mowa o polskiej emigracji) do stwarzania dla sztuki teatralnej kontekstów związanych z semantyką przekazów reklamowych, czy już na płaszczyźnie budowy mikroświata dramatycznego, środowiska nowoczesnego komunikowania, którego symbolem

jest telefon.

Najbardziej zróżnicowanym działem „Szkiców” i budzącym najwięcej moich wątpliwości jest dział misteryjny. Tam bowiem status tekstów równorzędnych przyznawano rozważaniom dotyczącym typologii misterium i apokryfu korespondujących z dorobkiem teatru jezuickiego - zjawisk analizowanych w kontekście raz to teatru, raz obrzędu, zestawianych dalej z „Hamletem” obecnym w Reducie Osterwy. Przy czym koniecznie stwierdzić należy, iż kształt inscenizacji nadawał nie sam tekst Szekspirowski, lecz „Studium o Hamlecie” Stanisława Wyspiańskiego, co powoduje, iż sam „Hamlet” usytuowany został pomiędzy przestrzeniami twórczości dwóch dramaturgów. Wielopłaszczyznowa komparatyka, przynajmniej z perspektywy dziejów, odległa.

Pomijając jednak wątpliwości warto zwrócić uwagę na społeczną funkcję teatru ujawniającą się w wybranych tekstach. Teatr chrześcijański i „obrazoburczy” Szekspirowski, przynajmniej biorąc pod uwagę mechanizmy oddziaływania na odbiorcę, wykazują specyficzne podobieństwo - dydaktyzm. Teatr misteryjny służył mianowicie nowemu typowi społeczeństwa, przyjmującego kościelne aksjomaty wiary za swoje. Jego ukrytym przed niewykształconym ludem, celem była transformacja średniowiecznej doktryny tłumaczącej wszelkie zjawiska, jako wynikłe z prawd wiary i nauki kościoła w rozumiały i przyswajalne dla prostego obywatela reguły społeczne. Teatr Szekspira dla odmiany przesuwając akcenty, kładł nacisk na pierwiastki ponadnaturalne w ich aspekcie fantastycznym, odległym od Boskich inklinacji, co z kolei służyć miało formułowaniu przestróg o charakterze tak jednostkowym, społecznym, państwowym, politycznym.

Z powyższych ustaleń wyłania się pierwsza z przestrzeni, pośród których funkcjonować może teatr - przestrzeń socjologiczna. Horyzont kolejnej wyznaczają rozważania dotyczące potencjału tkwiącego w modelach umożliwiających analizowanie zjawisk teatralnych. Mowa o modelach: interpretacyjnym i recepcyjnym, które przenoszą ciężar dyskusji do kolejnej z przestrzeni opierającej się na silnych fundamentach antropologicznych i kulturowych. Tak bowiem recepcja i interpretacja konstytuujące zjawisko konkretyzacji wiążą się z determinantami kulturotwórczymi. Te zaś warunkują rozważania

o komunikacji społecznej, w której okrag wpisano niejako dramat i teatr.

Po lekturze „Szkiców z historii i teorii dramatu, teatru i komunikacji społecznej” oczekiwałbym pełniejszej i bardziej, niż to przedstawiono, wyczerpującej analizy zjawisk prowadzących do sytuowania sztuki teatralnej w kontekście social studies. Tymczasem skomplikowany i zróżnicowany panel dziedzin naukowych budujących naukę o komunikowaniu społecznym symbolizuje analiza zjawiska telefonu i rozmowy telefonicznej obecnych w świecie przedstawionym tekstu dramatycznego i „doklejone” uwagi o semantyce przekazu reklamowego.

Choć oczywistym jest fakt, iż opublikowane w 1999 roku „Szkice” są tylko przyczynkiem do dyskusji na temat nowych pól otwieranych przed dramatem i teatrem wdzierającym się na terytoria do niedawna zarezerwowane dla „media research”, nie można nie zauważyć, iż już w końcu lat dziewięćdziesiątych w zasięgu polskiego odbiorcy interesującego się obecnością w dramacie instrumentów zapożyczonych z przestrzeni komunikowania masowego, znajdowały się różnorodne teksty dramatyczne publikowane na łamach choćby „Dialogu”, angażujące dla potrzeb ekspresyjnych nie tylko telefon, lecz o wiele bardziej inwazyjne dla ludzkiej wrażliwości i świadomości postrzegania otaczającego świata narzędzia: telewizję, radio, prasę, komunikat reklamowy, komputer. Nie można wobec powyższego oprzeć się wrażeniu, iż rozpatrywana w zbiorze problematyka pozostaje daleko w tyle za dra-

maturgicznym dorobkiem twórców, których sztuki wystawiano w końcu lat dziewięćdziesiątych, nie wspominając już o nowym XXI stuleciu.

Publikacja pod redakcją Janusza Skuczyńskiego ma w mojej opinii jedną zaletę. Jest nią wskazanie na przemiany zachodzące w dyskursie teatralnym jako wielopłaszczyznowym zdarzeniu komunikacyjnym w obrębie kultury, religii, także polityki na przestrzeni wieków. Zaletą mogłaby być również wielość poruszanych wątków, gdyby nie fakt, iż niektóre z nich, mimo akcentów uwidoczniionych w tytule są niestety niedoreprezentowane, co szczególnie widoczne jest w ostatniej części: „Komunikacja społeczna”.

In plus „Szkicom z historii i teorii dramatu, teatru i komunikacji społecznej” zapisać trzeba głos w dyskusji dotyczącej zmieniającej się na naszych oczach kulturotwórczej roli teatru. Niedostatkiem jest zdecydowanie poszlakowe omówienie rewolucyjnych przemian, na które zwraca uwagę przywoływana na początku Dobrochna Ratajczakowa.

Miłosz Babecki

W przestrzeni komunikacyjnej. Szkice z historii i teorii dramatu, teatru i komunikacji społecznej, pod red. J. Skuczyńskiego, Wyd. Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 1999.

RECENZJE

Anna Rau

Plagiat! Plagiat

Kate Moss wcale nas nie wpuszcza w labirynt... - ona zwyczajnie nas wpuszcza w kanał! Jej piarstwo przypomina mi początkującego barmana, który naoglądał się telewizyjnych relacji z Konkursu na Mistrza Drinków, zapragnął dorównać laureatom, więc mimo luk w pamięci, co do ilości i jakości alkoholowych składników - wrzucił wszystko, co miał w barku, do wiadra, wymieszał i czekał na godziwy efekt... Jednym zdaniem, podobnie nudnego splotu z nieconieswieżych (co prawda, po Danie Brownie nic z wątkiem Świętego Graala nie będzie już

nowe), lecz ciągle jeszcze do wykorzystania, motywów, już dawno nie czytałam. Na dodatek - mówię to z pełną odpowiedzialnością - Moss popeniła genialny plagiat, PLAGIAT, KTÓREGO NIE MOŻNA UDOWODNIĆ. Pisarka zwyczajnie wykorzystwała wachlarz motywów Dana Browna, nadając im przeciwny bieg! U Browna, podnieceni tajemniczym kryptogramem, zgłębiamy drugie dno obrazów mistrza Leonarda oraz architektoniczno-rzeźbiarskich zabytków Francji, Włoch i Wielkiej Brytanii, u Moss - akcje inicjują trzy księgi, kryjące

tajemnice Graala plus podobny zestaw zabytków architektoniczno... itepe. Grobowce i marmurowe figury kontra zapuszczona mogiła w zapomnianej grocie. Główny bohater, znany naukowiec w średnim wieku przeciw młodej i świeżej pani archeolog. Kobieta-Graal Odwieczny, a czystej krwi spadkobierczyni tajemnic średniowiecznych katarów (Graal gratis!)... No i motywy wspólne, chwytliwe, zawsze sprawdzone: pościg z kilkoma przypadkami śmiertelnymi, wierny, Kochający pomocnik, ujęcie prześladowcom wbrew nadziei - zawsze w ostatniej chwili - i, wreszcie, końcowe „przebudzenie” głównego bohatera - nagroda w postaci zwiększenia możliwości, samoświadomości i odpowiedzialności... Hipnotyzująco przewijające się słowa-klucze: kod, szyfr, labirynt, węzeł, tajemnica, tabu. Ach, a ileż to labiryntów spotkaliśmy już w swojej życiowej karierze czytelnicy, labiryntów NAPRAWDĘ intrygujących... „Królowa Śniegu wabi Kaja długą, szponiastą ręką, wodząc go na pasku po nieskończonych lodowych salach Zimowego Pałacu. Tezeusz ostrożnie rozwija nić Ariadny, jednocześnie pociągając nosem, aby wyczuć byczą woń krążącego gdzieś Minotaura. Ojciec Wilhelm z Baskerville kicha wśród zakurzonych tomów Zakazanej Biblioteki Imienia Róży...” Czego spodziewa się Podróżnik Lektor, dobrowolnie wchodząc w świat takiej literowej gmatwaniny? Może bezpiecznej miniatury życiowej wędrówki w nieznanie - z niewątpliwym dobrym zakończeniem. Dreszczu

emocji z racji natknięcia się na nowe, niekończące się odnogi literackich wątków-korytarzy. Pewnie wręcz wzrostu adrenaliny przy jakichś niewinnych pułapkach - zwrotach akcji. Posmaku ekscytującej ucieczki przed drapieżnym mieszkańcem nieskończonych korytarzy, przed Minotaurem... Dowodu na swą inteligencję w postaci własnoręcznego rozwiązania zagadki. Czytelnik chce to przeżyć! Wie, co prowokuje, sięgając po zaklętą w papierze tajemnicę... Labirynt musi być zgamatwany, podstępny, niby-nieskończony, niejednoznaczny, a jednocześnie w swej naturze prosty jak budowa cepa. Ale Moss we wszystkim przegina!

Na dwóch płaszczyznach czasowych, w 1209 i w 2005 roku (miesiąc się zgadza - lipiec) rozgrywają się dwie historie. Dzięki sprytnym przerzutom akcji śledzimy je jednocześnie... - cóż za galimatias! 17-letnia Alais, mieszkanka trzynastowiecznego Carcassonne, otrzymuje od ojca osobliwy i niebezpieczny spadek w postaci księgi-skrzynki tajemnicy Świętego Graala. Dokładnie w 704 lata później, Alice, trzydziestoletnia doktor archeologii, odkrywa dwa szkielety pod murami wyżej wspomnianego Carcassonne i w związku z tym przeżywa: ekscytację odkryciem, niebezpieczeństwem ucieczki oraz - nareszcie! - końcowe oświecenie z jednoczesnym, i nieznośnym stereotypowym, tak zwanym „odnalezieniem siebie”. Do tych dwóch wątków dołączono cały zestaw, początkowo nie do odszy-

frowania, później zaś zjawiskowo odtajnionych manuskryptów oraz walk i konfliktów natury teologiczno-obyczajowej wykletej organizacji religijnej z oficjalnymi i, ma się rozumieć, okrutnie skorumpowanymi i mściwymi władzami KK (Kościoła katolickiego). Fatalnie się również stało, że przydatne wywody na temat ideologii katarów i (odwiecznych) ich odniesień do wypadków w historii ludzkości tak inteligentnie schowano w szumie nieinteresującej akcji, iż świat średniowiecznych heretyków całkowicie się rozmył. Oczywiście, Kate Moss miała szanse zainteresować czytelnika - gdyż rozdziały opisujące obyczajowość średniowiecza z punktu widzenia młodej kobiety mogły stanowić rzeczywistość zaletę jej powieści. Niestety, pisarka potraktowała to bardzo powierzchownie, podsuwając czytelnikowi stereotypowe obrazy tej ciekawej epoki i spływając (pokusiłabym się na określenie, iż wręcz unowocześniając) portrety wewnętrzne średniowiecznych bohaterów, przez co uzyskała totalnie nieudany efekt literacki: powiało nudą i dłużyzną. Jediną pozytywną informacją pozostającą z czytelniku po lekturze „Labiryntu”, czyli morałem, jest ostrzeżenie, aby wystrzegać się spadków po jakichkolwiek krewnych. Niemal zawsze więcej z nich kłopotów niż pożytku i finansowej pociechy...

Staropolska nazwa labiryntu to „błędnik” lub „błędyniec”. Świetne słowa, które genialnie oddają naturę powieściidla Kate

Moss. Czytając, BŁĄDZIMY po jej wątkach. Stajemy się OBŁĘDNymi, próbując śledzić te szlaki. A do tego jednocześnie zastanawiamy się, jaki to niewybaczalny BŁĄD życiowy popełniliśmy i teraz musimy za to pokutować, skoro niebiosa postawiły na naszej drodze...: tę niewydarzoną pomyłkę literacką, tę populczyną po Danie Brownie (i spółce, niestety), tę zwyczajną wyciskarkę pieniędzy i - w końcu - tę nieudolną kompilację najmłodniejszych wątków literackich bieżącego roku w jednym... W „Labiryntie” Kate Moss niestety nie mieszka ekscytujący, nieznan, działający na wyobraźnię Minotaur, ani mumia, ani nawet duchy - lecz pospolity, prozaiczny nietoperz! To za nim krążymy, potem on nas ściga i w końcu - rety, nasi przodkowie mieli rację! - wkręca się we włosy, bo ta książka nie ma końca!

Anna Rau

Kate Moss, Labirynt, tłum. Agnieszka Barbara Ciepłowska, Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2006.

FILM

Sebastian Żurowski

Napisz se recenzję!

(Triumf woli, reż. Leni Riefenstahl)

Magia ekranu ma jednak swoją siłę. Po obejrzeniu tego filmu aż chciałoby się należeć do Hitlerjugend i przeżyć swe młodzieńcze muskuły przed Führerem (ewentualnie wstąpić do organizacji pionierów i paradować przed pierwszym sekretarzem)! Być wśród tych tysięcy młodych, wysportowanych chłopców o jędrnych pośladkach, wysztafconych łydkach... No, tu może trzeba uważać, żeby się nie zagalopować, bo rasowy faszysta przecież gardzi pedałami, choć docenia prawdziwą, męską przyjaźń. Taką jak z pola walki. Na śmierć i życie.

Prawdziwy młody narodowiec jest gotów oddać przyjacielowi w potrzebie nawet swoje nazwisko. Nie mówiąc już o krwi i honorze.

Propagandowy dokument „Triumf woli” w reżyserii Leni Riefenstahl (produkcja wykonawcza, pomysł i główna rola androginiczna: Adolf Hitler) do dzisiaj pozostaje majstersztykiem filmowej roboty, choć jednocześnie należy go z miejsca skreślić ze względu na jego ideową zawartość. Rażą w nim bardzo sceny inscenizowane, ale są one wplecione po to, żeby w pełni wykorzystać propagandowy efekt,

który można osiągnąć fabrykując pseudodokument. Mnie zawsze zastanawiało nieco nieryjskie brzmienie nazwiska Riefenstahl, ale zapewne odpowiednie organa III Rzeszy dogłębnie zbadały sprawę. Zresztą dajmy spokój tej personie i skupmy się na samym filmie. Krótko, bo szkoda tracić nań dużo czasu.

Po latach można spojrzeć na film zupełnie inaczej: jak na komedię. Na podobnej zasadzie obecnie śmieszą np. klasyczne filmy socrealistyczne albo nieme melodramaty z Rudolfem Valentino. Teraz śmieszą, ale przecież w chwili powstawania były odbierane przez widzów zupełnie serio, czyli zgodnie z manipulatorskimi intencjami ich twórców. Współczesny wyrobiony widz wszystko to, w czym próbuje się nim prymitywnie manipulować, uzna za co najmniej śmieszne.

„Triumf woli” sam-w-sobie też jest po prostu śmieszny.

I nie tylko dlatego, że w polskich kopiach kinowych ten film poprzedzony jest krótką parodią składającą się z przemontowanych fragmentów oryginału. Po prostu trudno obecnie zrozumieć, jak można było na poważnie uczestniczyć w tak dętej imprezie, którą był sfilmowany zjazd nsdap w Norymberdze w roku 1934. Połowa filmu składa się z obrazów maszerujących żołnierzy, bojowców i „innych takich różnych”, z których zdecydowanie najdziwniejszą jest ekipa dziwnych gości z łopatami (to jakies młodzieżowe brygady budowlane, stworzone po wprowadzeniu powszechnego nakazu pracy). Owszem, nawet bardzo ciekawie wyglądają te marsze, bo Riefenstahl nie będąc zmuszona do liczenia się z kosztami, mogła zastosować wszelkie

dostępne wtedy środki techniczne. I tak filmowała z kamer na statywach, kamer z ręki, kamer umieszczonych na wysięgnikach, wózkach kamerowych, windach itp., itd. Widać też, że autorce nieobca była sztuka montażu. To naprawdę nowatorski film i aż szkoda, iż jest czarno-biały, bo dopiero w kolorze wrażenie byłoby naprawdę piorunujące. Tym bardziej szkoda, że to propagandowy śmieć.

Film niby jest dokumentem, ale tak naprawdę ma doskonale przemyślaną strukturę fabularną, która naturalnie podporządkowana jest wyłącznie kreśleniu odpowiedniego wizerunku Hitlera. Zbawiciela i odnowiciela Rzeszy, którego niebo zesłało samolotem w słońcu

poranka. Mimo jednak usilnych starań ten ostatni i tak wygląda jak idiota, ale przecież bez względu na ustrój, kraj i epokę historyczną ludziom często nie przeszkadza, że rządzą nimi idioci. Podobnie większość przemawiających na relacjonowanym zjeździe funkcyjnych członków z NSDAP i SA wygląda jak pierwszej klasy buractwo. Ostatecznie jedynie minister g. (wtedy rolę ministra g. odgrywał rzecz jasna Goebbels) wypada na ekranie jako tako - reszcie nie pomogły cuda wyprawiane przez reżyserkę.

Wyśmiewam się tu mocno z tego filmu, ale nawet nie sugeruję, żeby zobaczyć go samemu. Jest wielce prawdopodobnie, że przeciętny widz nie wytrzyma tych dwóch godzin, bo do prze-

trwania seansu „triumfu woli” trzeba niesłychanej cierpliwości. To prawdziwa uczta, ale potrawy są już tak zjełczałe, że tylko inteligentni estetyczni smakosze będą potrafili docenić pewne ich wartości pozaideologiczne. Różni wszechpolacy się na pewno znudzą. I dobrze. Nikt nie chciałby, żeby wykształcił się w nich pociąg do paradujących chłopców.

Sebastian Żurowski